

Księga wyjścia – 41

31 grudnia 2019

Ballada o tym co warto.

Nie ma chyba lepszego uczucia, niż tuż po przebudzeniu zorientować się, że dzisiaj nie muszę robić NIC. Oczywiście jedynie po kilkumiesięcznej, ciężkiej harówce. Chociaż nawet gdy nie miałem pracy i byłem bez grosza, to w niedzielę i święta czułem się trochę lepiej.



Po prostu czułem się tak samo jak miliony innych ludzi, którzy mają wolne, a nie jak wyrzutek społeczny – odszczepieniec, a takie uczucie dopadało mnie od poniedziałku do piątku. W weekend byłem jak inni, a w święta już zupełnie.

Tym razem było inaczej. Po blisko dwóch miesiącach ciężkiej pracy poczułem wreszcie błogość. Wróciły dawne pomysły, które odłożyłem na czas spisywania kominów. Po skończonej pracy przekazaliśmy kilka tysięcy wypełnionych ankiet. Zarobiliśmy z kumplem przyzwoicie, więc bardzo zadowoleni rozeszliśmy się w swoje strony. Tzn. Ja rozszedłem, bo u niego mieszkałem.

Pożegnaliśmy się i zabrawszy swoje manele ruszyłem na dworzec. Najpierw bilet do Warszawy, a drugi do Puław. Kupowałem w

jednej kasie, zawsze to łatwiej. Tym razem okazało się, że wcale nie łatwiej. Owszem pani w okienku bilety sprzedawała, ale oba na pociąg o tej samej godzinie. I to godzinie zakupu biletu. Do Warszawy dojechałem bez problemu, bo i tak jest ważny godzinę, ale w pociągu do Puław, już nie chcieli uznać tego bubla, dopiero gdy wyjąłem poprzedni bilet i pokazałem godziny sprzedaży, to mi odpuścili.

Ulice – nawet nie macie pojęcia jak ich nazwa może być istotna dla takiego ankietera. O ile ulica Baca jest ok, to już przy Królowej Marysienki trafia szlag. Nazwy ulic powinny być jednosylabowe z wyłączeniem słowa „świerszcz”. Albo literowe, ułożone alfabetycznie czy też numeryczne. Mielibyśmy mniej bubli jak ten z Białegostoku, gdzie radni nazwali ulicę „Obrońców Monte Casino”. Równie dobrze mogliby nazwać bohaterskich obrońców Berlina 1945 roku.

Ale to już za mną, jeśli pojawi się nowe zlecenie, to chętnie wezmę je ponownie. I będę klął długie nazwy ulic.

Gdy po perypetiach związanych z biletami i niemiłosiernym tłokiem na korytarzu, stałem jedną nogą w kiblu, bo i on był załadowany ludźmi, dotarłem pod blok.

Otworzyłem klatkę, a tu z podwójną siłą wodospadu, oberwałem w nos – smrodem, łamane przez zapach – świątecznych wypieków, wysmażeń, wygotowań, a najgorszy był – smród łamane przez zapach – kapusty. Wydawało mi się, że słyszę ten bulgot.

Jasna cholera – pomyślałem i jak nigdy, w kilka sekund dotarłem na czwarte piętro. Zamknąłem drzwi, otworzyłem okna i padłem spać. Drugiego dnia z rana, poleciałem kupić kadełkę, mimo że jaram szlugi jak smok, to tego zabić się nie dało. Dwie paczki kadełek wystarczyły do południa. Poszedłem kupić kolejne i starego dobrego „Old Spica”. Wreszcie. Wreszcie dało się wytrzymać. Następnego dnia, z samego rana pojechałem do Lublina na moją stałą terapię.

Przy okazji dowiedziałem się, co słychać w świecie

równoległym, kto żyje, kto już nie. Kto siedzi, a kogo wypuścili. To są zwykle barwne opowieści, ale obiecałem sobie już do nich nie wracać. W końcu to Księga wyjścia.

Udało mi się jakoś dotrwać w tych oparach – smrodu łamanego przez zapach – do przedświątecznego dnia zwanego w Polsce wigilią. I wtedy padłem spać.

Odsypiałem zaległe dwa miesiące. Obudziłem się dopiero po dwóch dniach, 26 grudnia, bo przyjechał do mnie mój młodszy syn. Zorientowałem się, że coś jest nie tak, gdy zobaczyłem, że zamknięte są wszystkie sklepy. Nawet mieliśmy kłopot żeby zamówić pizzę. Po wielu próbach jednak się udało. Syn spędził u mnie trochę więcej niż dobę, więc mogliśmy już dzień po świętach pójść sobie na zakupy.

Mówią, że to kobiety uwielbiają łązić po sklepach. Gówno prawda, biegaliśmy po wszystkich, które były otwarte i kupowaliśmy tylko niepotrzebne rzeczy. Było to tak: „potrzebne ci to?” – pytał mnie, albo ja jego – „nie, po cholere” – padała odpowiedź i już ów przedmiot lądował w koszyku. Wiecie co, to były najlepsze święta jakie miałem w życiu. Mimo, że było już po świętach.

Teraz czekam – już sam – na nowy rok, a po nim mam pewne plany. Przede wszystkim wydam książkę, będzie to drugie wydanie „Z dna i opowiadania”. Czyli wszystkie teksty które publikowałem na fb, w DT, na różnych portalach, ale i do szuflady. To będzie gruba książka, ale taki jest cel. Potem dokończymy sprawę spółdzielni wydawniczej i tak pewnie zleci do końca lutego. A wtedy być może znowu założę wygodne buty, na szyi powieszę identyfikator i trawestując Stachurę: Jutro raniutko jak ten szczygieł Wstanę, umyje się, zagwiżdżę I zejdem w doliny zaludnione Kominów szukać i cicho spaloną oponę. Jak los, będę pukał do twych drzwi Aż wreszcie otworzysz mi ty I powiesz, że ten dym, to nie my To sąsiad bardzo groźny i zły.

Jeśli będę miał dobry humor, to wpiszę, że ogrzewacie geotermią, fotowoltaiką i panelami, mimo, że chatka ma pięćdziesiąt metrów. A potem wywalą mnie z roboty, bo i tak cała gmina wie kto pali oponami w piecach. Zresztą, i tak zwykle oponami palą ci, którzy mieszkają przy głównej drodze. Tam są wiecznie korki i ludziom dętki strzelają. Zostawiają je więc na ulicy, a te ponoć rozkładają się długo i nikt ich nie sprząta. Tacy spalacze dętek czy opon są bardzo pożyteczni. Ale nie mnie to oceniać, ja mam tylko wpisać w rubryki co kto mówi.

Raz mi jeden facet powiedział „dziewięć tysięcy” gdy zapytałem ile rocznie płaci za ogrzewanie. Wydało mi się to dziwne, bo dom mu się walił i co najwyżej korzystał z jednego pokoju. Zapisałem co powiedział i zadałem następne pytanie, a ten znowu „dziewięć tysięcy” to już mnie bardzo zdziwiło, bo pytałem ile osób mieszka, gdy tak samo odpowiedział jak zapytałem o metraż, to odłożyłem teczkę i zacząłem mu się przyglądać. Mały, niepozorny, zezowaty gość, skakał przede mną i wciąż powtarzał „dziewięć tysięcy”. Przytrzymałem go za ramiona i zapytałem – „Jakie dziewięć tysięcy” – „no jak to, te co Kulaskowi brakuje”. Wtedy skojarzyłem, że facet był wściekły na jednego z posłów, który powiedział, że dziewięć tysięcy, to niewysoka pensja.

Zarobiłem znacznie mniej, ale i tak jestem zadowolony. Może to dlatego, że nigdy nie pracuję dla pieniędzy? Jak zapłacą – fajnie, jak nie, a praca mi odpowiada, to też ok. Ale tylko ja tak mam, bo robię i pracuję gdzie chcę. Na opłaty i szluga zawsze jakoś zarobię. Jeśli musiałbym utrzymać rodzinę, to byłoby inaczej. Wtedy zostałbym niewolnikiem systemu, który marzy o tym by zostać właścicielem niewolników. Czyli kapitalistą. Jedynie ci, którzy nie mają nic do stracenia i nic do zyskania, mogą pozwolić sobie na pełną wolność bez tych pieprzonych dziewięciu tysięcy.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info